

A watercolor illustration on a textured, light beige background. It features several red flowers with black centers, some in full bloom and some as buds. Two birds are depicted in flight, one above the other, with their wings spread. The overall style is soft and artistic.

Kwiat,  
który nie rozkwitnie

---

*Anchee Min*

# Rozdział 1

**B**ył trzydziesty pierwszy sierpnia 1984 roku. W Chinach – północ; w Ameryce – poranek. Zbliżała się pora lądowania w Chicago. Przerazało mnie i niepokoiło, że nie mówię po angielsku i nie mam pieniędzy. Ukryte w portfelu pięćset dolarów pożyczyłam przed wyjazdem. Ale nie mogłam pozwolić sobie na strach. Miałam dwadzieścia siedem lat i życie w Chinach dla mnie się skończyło. Byłam śmieciem Madame Mao, 四人帮的残渣余孽, co oznaczało, że nie jestem warta nawet splunięcia. Przez osiem lat wykonywałam niewymagające kwalifikacji prace w Szanghajskim Studiu Filmowym. Uważano mnie za jałowe ziarno – niemające szansy wykiełkować.

Gdy siedziałam w samolocie lecącym nad Pacyfikiem, czułam się, jakbym spała z szeroko otwartymi oczami. Próbowalam wyobrazić sobie życie, które mnie czekało, ale moje myśli dryfowały w innym kierunku. Widziałam siebie w zerówce, gdzie wszyscy nazywali mnie Śmierdzielem. Moja matka chorowała na gruźlicę i nie miała siły wyprać koca, który przynosiłam co miesiąc do domu.

– To tylko kwestia czasu – mówiła. Miała trzydzieści jeden lat i spodziewała się, że wkrótce umrze. Widząc, z jakim trudem oddycha, i mając świadomość, że mój dziadek zmarł na gruźlicę, kiedy miał pięćdziesiąt pięć lat, a babcia w wieku

czterdziestu dziewięciu lat, nie miałam serca prosić jej o wypranie koca.

Zanosilaam więc nieuprany do szkoły, a nauczycielka wznosiła oczy do nieba.

– Spójrzcie tylko na te okropne pazury!

Odwracała się z obrzydzeniem. Byłam strasznie zawstydzona, ale nie mogłam jej wyjaśnić, że próbowałam obciąć paznokcie sama, lecz nożyczki były zbyt zardzewiałe. Nie mogłam też liczyć na pomoc ojca. Rzadko bywał w domu. W postrzępionym ubraniu, z łatami na kolanach i łokciach, całymi dniami pukał do drzwi różnych ludzi, prosząc, by pożyczylimu pieniądze. A oni omijali go, chowali się, gdy tylko zobaczyli, że się zbliża.

Podczas upalnego, wilgotnego lata na moim czole zaczęły wyskakiwać pryszcze. Zainfekowane, pęczniały i ropiały. Głowę obsiadały mi muchy. Staralam się nie drapać, ale swędzenie było nie do zniesienia. Żeby zmniejszyć ryzyko zarażenia kolegów, nie wolno mi było bawić się z innymi dziećmi, a na lekcjach musiałam trzymać się z daleka, zwłaszcza podczas czytania bajek.

Błagałam matkę, żeby zaprowadziła mnie do lekarza. Jedna krosta była wielkości winogrona. Matka odparła, że nie ma pieniędzy. Z czwórki jej dzieci tylko ja nie byłam chora.

– Twój ojciec pożyczał już od wszystkich krewnych – powiedziała. – Nie został nikt, kto mógłby nam pomóc.

Co miesiąc byłam świadkiem, jak rodzice z wielkim wysiłkiem starali się spłacać zaległe długi przyjaciółom i znajomym. Nie mieliśmy nawet ręcznika. Od lat nasza sześćosobowa rodzina wycierała się tą samą brudną szmatą. Zarażaliśmy się kolejno zapaleniem spojówek. Na koniec matka oznajmiła, że pryszcze mnie nie zabiją.

W Szanghaju byliśmy uważani za przedstawicieli klasy średniej. Żałowałam, że moi rodzice nie są proletariuszami,

tak jak nasi sąsiedzi, wtedy mieliby prawo do bezpłatnej opieki lekarskiej. Niestety, oboje byli nauczycielami, tym samym zaliczano nas do sympatyków burżujów. Ich los został przypieczętowany, podlegali reformie. Gdy w 1965 roku wybuchła rewolucja kulturalna, moją matkę wysłano do fabryki. Jej praca polegała na zdejmowaniu gumiaków z form na taśmie produkcyjnej. Codziennie rano musiała trzykrotnie przesiadać się z autobusu na autobus, żeby dojechać do pracy, w rezultacie sama podróż zajmowała jej kilka godzin. Ojciec miał do swojej drukarni jeszcze dalej.

Pewnego dnia odesłano mnie ze szkoły do domu z ostrzeżeniem od inspektora z urzędu zdrowia, który obawiał się, że moja infekcja może się rozprzestrzenić. Rodzicom polecono, by „podjęli działania” albo państwo zrobi to za nich. Matka postanowiła nie reagować.

W poniedziałek po południu przyjechał po mnie trycykl z czerwonymi gwiazdami, namalowanymi po obu stronach, i zabrano mnie do szpitala, gdzie chirurg usunął zainfekowane pryszcze. Po zabiegu pozostała mi dwuipółcentymetrowa blizna po lewej stronie czoła.

Matka była przerażona, gdy zdjęła opatrunek. Zaczęła protestować, mówiła, że nie wyraziła zgody na operację.

– Na litość boską, oszpeciliście mi córkę!

Powiedziano jej, że w proletariackim społeczeństwie wygląd dziewczyny nie ma znaczenia.

– Powinnaś być wdzięczna, że dzięki Komunistycznej Partii Chin i socjalistycznemu ustrojowi operacja nic cię nie kosztowała!

Gdy przeszłam z zerówki do szkoły podstawowej, wciąż nie miałam przyjaciół. Moje ubrania były całe w łatach, buty się rozlatywały. Klasowi rozrabiacze jeden przez drugiego tłukli mnie po głowie parasolami i liczydłami. Najwyraźniej podobał im się dźwięk, jaki wydawały drewniane kulki w ze-

tknięciu z moją czaszką. Im bardziej się uchylałam, tym stawali się agresywniejsi. Nigdy nie pisnęłam słowa rodzicom o tym, co się dzieje w szkole, ponieważ uważałam, że to tylko pogorszy sytuację.



– Zostawię cię na ulicy – groziła mi nauczycielka z zerówki. – Jest dziesiąta wieczorem! Twoja matka mnie wykorzystuje. Mam trójkę własnych dzieci, którymi muszę się zająć!

Strasznie się bałam. Wreszcie matka się zjawiała. Była tak chuda, że w przyćmionym świetle latarni wyglądała jak duch.

W dniu, gdy miała dostać wypłatę, zabierałam rodzeństwo na przystanek autobusu 24 przy Shanxi Road, by na nią zaczekać. Głodowaliśmy przez wiele dni. Wylizywałam do czysta słoik po ryżu. Wybierałam z publicznych kontenerów na śmieci ogryzki jabłek i ssałam patyczki po lodach. Myśl o tym, że matka kupi chleb, pomagała nam przetrwać ból brzucha. Gdy wysiadała z autobusu, witaliśmy ją głośnymi okrzykami radości. Pewnego razu przywiozła nam złe wiadomości – w autobusie ukradziono jej portfel.

Często czekałam na nią w szpitalu. Tak rozpaczliwie pragnęła, by wydano jej papierek zezwalający na odpoczynek, że była niemal szczęśliwa, gdy miała zawroty głowy, wiedziała bowiem, że im gorzej będzie się czuła, tym większą będzie miała szansę na zwolnienie z pracy. Zauważyłam, że wyrzuca lekarstwo, by nie poczuć się lepiej.

Matka była kiedyś piękną. Choć nigdy nie dbała o swój wygląd, zachwycono się jej błyszczącymi migdałowymi oczami o ciężkich powiekach i smukłą figurą. Kochała starochińską poezję i lubiła śpiewać, mimo że z powodu chorych płuc ledwie udawało jej się wyciągnąć wysokie dźwięki.

Inne wyraźne wspomnienie wiąże się z odwiedzinami matki w lombardzie. Były tam wielkie czarne drzwi i wysoki

kontuar. Matka wspinała się na palce, by postawić na nim torbę. Wieczorem, dzień przed przyjściem do lombardu, cerowała ubrania i przyszywała guziki. Latem zastawiała zimowe ubrania, a zimą letnie. W końcu zabrakło jej rzeczy do zastawiania. Nigdy nie zapomnę jej zawiedzionej miny, gdy odrzuciono ubrania, które przyniosła.

Kiedys widziałam, jak rozbłyły jej oczy, gdy jakiś krewny kupił nam kurtki w prezencie na Nowy Rok. Spodziewałam się, że nazajutrz włożę do szkoły nową kurtkę, ale ubrania zniknęły. Matka nie zdradziła, co się z nimi stało, ale ja wiedziałam, że zaniosiła je do lombardu. Wmawiała pewnie sobie, że uda jej się wykupić kurtki przed terminem spłaty, ale zawsze brakowało jej pieniędzy.

Pamiętam ślady krwi na śniegu, które zostawały po jej przejściu, bo otwierały się odmrożenia na podeszwach stóp. Nosiła buty z plastiku, który zimą stawał się ostry jak nóż. Nie stać jej było na płócienne obuwie ani na skarpetki.

Szłam za matką po śladach jej krwawiących stóp. Zdumiewało mnie, że nigdy nie skarżyła się na ból. Czasami tylko krzywiła się, a z jej ust wyrывał się zduszony jęk.



Przed wyjazdem do Ameryki udałam się do salonu fryzjerskiego przy Shanxi Road, o nazwie Szanghajska Biała Jaśmin. Zapytano mnie, na jaką „okazję” ma być fryzura.

– Styl uczesania musi pasować do okazji – wyjaśniła fryzjerka.

Powiedziałam, że wyjeżdżam za granicę, do Ameryki. Zmierzyła mnie spojrzeniem od stóp do głów. W jej oczach malowało się wyraźne niedowierzenie, wyjęłam więc paszport i pokazałam amerykańską wizę.

– Ameryka! – wykrzyknęła tak głośno, że słycać ją było w całym salonie. Pozostałe pracownice zostawiły swoje

klientki i otoczyły mnie wianuszkami.

– Nie możesz pojechać do Ameryki, wyglądając jak wieśniaczka! – zawołała jedna z nich.

– Nie będziesz przecież paradowała po amerykańskich ulicach z włosami prostymi jak sznurki od mopa! – zawtórowały jej inne.

Przyznałam im rację.

Po poważnej dyskusji wybrały fryzurę à la Esmeralda.

Nie miałam zielonego pojęcia, co oznacza „Esmeralda”. Wyjaśniły mi, że to najmodniejsza obecnie w Szanghaju fryzura, zainspirowana przez piękną Cygankę o imieniu Esmeralda, ze świeżo sprowadzonego zagranicznego filmu *Dzwonnik z Notre-Dame*.

Natychmiast pobiegłam na ten film, by upewnić się, że fryzura à la Esmeralda jest właśnie tym, czego pragnę. Nie miałam z tym problemu, ponieważ kino mieściło się przy sąsiedniej przecznicy.

Zakochałam się w Esmeraldzie. Wróciłam do salonu i poprosiłam o takie właśnie uczesanie. Po siedmiu godzinach fryzjerka oznajmiła, że moja Esmeralda jest gotowa. Przez te siedem godzin musiałam znosić szarpanie, zakręcanie i suszenie ręczną suszarką. Chemikalia, których używały fryzjerki, cuchnęły gorzej od gnoju; podgrzewane wałki ceramiczne ciążyły mi na głowie. Wreszcie zaprowadzono mnie z powrotem na moje miejsce. Gdy zobaczyłam swoje odbicie w lustrze, bezradnie osunęłam się na fotel.

– To nie Esmeralda! – jęknęłam. – To kępa wodorostów!



Z głośnika rozległ się głos kapitana samolotu. Nie rozumiałam, co mówi. Rozejrzałam się. Pasażerowie po mojej lewej i prawej stronie zapinali pasy bezpieczeństwa, poszłam więc za ich przykładem.

Samolot zaczął zniżać lot. Zobaczyłam przez okno morze światła. Oszołomiło mnie piękno tego widoku. Kapitalizm gnije, socjalizm rozkwita – przemknęła mi przez głowę myśl. Czy taki ma być wynik procesu gnilnego?

Samolot szarpnął, kiedy koła dotknęły podłoża. Wszyscy wzniesli radosne okrzyki, gdy w końcu się zatrzymał. Jeden po drugim, pasażerowie wstawali, zbierali swoje rzeczy i wychodzili.

– Chicago? – spytałam stewardesę.

– Nie – odparła z uśmiechem.

– Nie Chicago? – Wyjęłam bilet.

– Jesteśmy w Seattle. – Dała mi znak, żebym nie blokowała przejścia. Reszty słów nie rozumiałam.

Podążyłam za pasażerami kierującymi się w stronę dużego holu. Nie potrafiłam opanować zdenerwowania, miałam wrażenie, że się duszę. Dłoń, w której trzymałam paszport, była mokra od potu.

Nogi miałam jak z waty. Hałas w mojej głowie był głośniejszy od tego na zewnątrz. Przypominał turkot traktora z poluzowanymi śrubami jadącego po wyboistej drodze.

Bałam się, że mnie złapią. Nie byłam osobą, za którą się podawałam – studentką, która przyjechała się uczyć w amerykańskim college’u. Ale jaki miałam wybór? Nie wydano by mi paszportu, gdybym nie zapewniła, kłamiąc w żywe oczy, o mojej dożgonnej wierności Komunistycznej Partii Chin. Amerykański konsulat w Szanghaju nie przyznałby mi wizy, gdybym nie uciekła się do oszustwa i nie przedstawiła się po angielsku, słowami, które znałam z piosenki. Parłam do przodu niczym ranny byk. Nie miałam czasu się bać... aż do tej chwili.

Mój ojciec natomiast był śmiertelnie przerażony. Nie wierzył, że mi się uda. Nikt o zdrowych zmysłach albo mający coś do stracenia nie zrobiłby tego co ja. Ale ja nie miałam



nic do stracenia. Byłam niczym schwytna żaba szykująca się do ostatniego skoku. Pokonywałam piętrzące się przede mną przeszkody.



Po wyjściu z samolotu wyruszyłam na poszukiwanie damskiej toalety. Byłam zdezorientowana; wszystkie napisy były w języku angielskim. Udałam się za jakąś kobietą do pomieszczenia, na drzwiach którego była namalowana postać w spódnicy. Ucieszyłam się, że znalazłam się we właściwym miejscu. Nie było kolejki. Rozejrzałam się, by się upewnić, że na pewno trafiłam tam, gdzie chciałam. Weszłam do kabiny i zamknęłam drzwi. Nigdy nie widziałam tak przestronnej i czystej toalety. Moją uwagę zwróciła rolka papieru; był nieskazitelnie biały i miękki w dotyku. Zastanawiałam się, ile może kosztować. Nie użyję go, jeśli będę musiała zapłacić. Usiadłam i wyciągnęłam kilka centymetrów. Obrzuciłam spojrzeniemabinę, nasłuchując. Nie włączył się żaden alarm. Mimo to nie byłam pewna, czy wolno mi użyć tego papieru. Urwałam jeszcze jakieś trzydzieści centymetrów, potem kolejne trzydzieści.

Przysunęłam papier do nosa i powąchałam go. Miał przyjemny delikatny zapach. Pomyślałam, że może jednak jest darmowy, i ostrożnie wytarłam pupę. Nie podrapał mi pośladków. Co za niewiarygodne uczucie! Przywykłam do papieru szorstkiego jak papier ścierny. Prawdę mówiąc, zapakowałam do walizki papier toaletowy wyprodukowany ze słomy.



Ludzie o różnych kolorach oczu, włosów i skóry utwierdzili mnie w przekonaniu, że nie jestem już w Chinach. Miałam nadzieję, że moja fryzura à la kępa wodorostów nie razi nikogo. Posuwałam się w żółtym tempie w kolejce do kon-

troli paszportowej. Usłyszałam, jak mężczyzna za kontuarem woła: „Następny!” i serce podeszło mi do gardła.

Zmusiłam się, by zrobić krok do przodu. Wszystko wokół mnie wirowało. Stałam twarzą w twarz z urzędnikiem imigracyjnym. Chciałam się uśmiechnąć i powiedzieć: „Dzień dobry”, ale szczęki miałam zaciśnięte. Oczami wyobraźni widziałam tylko jeden obraz – grupę wieśniaków próbującą przeciągnąć wykonany z błota posąg Buddy na drugi brzeg rzeki. Posąg rozpadał się i rozpuszczał w wodzie.

Cała drżąca, wyciągnęłam prawą rękę i podałam urzędnikowi paszport.

Był to siwy, wąsaty mężczyzna w średnim wieku. Uśmiechnął się szeroko, mówiąc do mnie coś, co, jak dowiedziałam się później, znaczyło: „Witaj w Ameryce!”.

Miałam pustkę w głowie. Nie mogłam złapać tchu. Czy ten mężczyzna pyta mnie o coś, czy też jest to powitanie? Czy chce wiedzieć, skąd przyjechałam, czy jak się mam?

Przestudiowałam książkę *Dziewięćset zdań angielskich*. Jeśli jej wierzyć, gdy spotyka się kogoś po raz pierwszy, trzeba powiedzieć: „Jak się masz?”. Bez wątpienia nie były to słowa, jakimi przywitał mnie urzędnik. Jak powinnam odpowiedzieć: „Świetnie, dziękuję, a pan?” czy „Przyjechałam z Chin”?

A jeśli to było powitanie? Czy usłyszałam słowo „Ameryka”? Chyba tak. „Ameryka” oznacza „Stany Zjednoczone”, prawda? Czy spytał mnie o powód przyjazdu do Ameryki?

Czułam przenikliwe spojrzenie urzędnika. Wybrałam wcześniej przygotowaną odpowiedź.

Zadarłam brodę i zmusiłam się do uśmiechu.

– Dziękuję bardzo – wykrztusiłam, starając się wymówić te słowa jak najbardziej prawidłowo.

Wziął ode mnie paszport i sprawdził go.

– An ...ah Q? – przeczytał. – Ah ...Q? A ...Kee? A ...Q?

W paszporcie moje imię było napisane „An-Qi”. Nie mia-

łam nic do powiedzenia w sprawie wyboru transkrypcji. System transkrypcji *hanyu pinyin* został wynaleziony przez rząd komunistyczny. Jeśli moje prawdziwe imię brzmiało „An-chee”, w *pinyin* było transkrybowane „An-Qi”. Komunistycznemu urzędnikowi zajmującemu się reformą języka chińskiego wydawało się, że cudzoziemiec będzie wymawiał „Qi” jako „Chee”. Żadnemu Chińczykowi nie wolno było używać innej transkrypcji niż w paszporcie.

Czy powinnam była odpowiedzieć: „Tak, jestem Ah-Q”? „Ah-Q” to było imię znanego chińskiego idioty. Gdyby to było „Ah-B” czy „Ah-C”, chętnie przytaknęłabym. Ale nie po to przyjechałam do Ameryki, by nazywano mnie idiotką.

Urzędnik zadał mi kolejne pytanie. Tym razem nie rozumiałam kompletnie nic, a on czekał na moją odpowiedź. Usłyszałam, jak mówi:

– Czy rozumiesz moje pytanie? – W jego głosie słychać było narastającą irytację. Wyraźnie tracił cierpliwość.

Posąg Buddy z błota rozpułnął się w rzece, połknęła go.

Urzędnik zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem od stóp do głów.

Zebrałam się na odwagę i powtórzyłam:

– Dziękuję bardzo!

Przywołał mnie skinieniem, a kiedy podeszłam bliżej, zaczął coś mówić bardzo szybko.

– Dziękuję bardzo! – krzyknęłam, wpadając w panikę.

Uśmiech mężczyzny zniknął. Nie zadawał więcej pytań, zabrał mój paszport i wskazał na przeszklone drzwi prowadzące do pokoju za jego plecami.

Kolana się pode mną ugięły, przestałam cokolwiek słyszeć.



Odprowadzono mnie do pomieszczenia o pomalowanych na brązowo ścianach. Po chwili weszła jakaś kobieta. Przed-

stawiała się jako tłumaczka i zaczęła mówić do mnie w języku mandaryńskim z silnym amerykańskim akcentem.

– Nie zna pani angielskiego, a podobno przyjechała pani tutaj studiować. Jak pani to wyjaśni, panno Min?

Przyznałam się, że to oszustwo. I czuję się winna.

– W dokumentach widnieje czarno na białym, że mówi pani płynnie po angielsku – kontynuowała tłumaczka. – Domyślałam się, że nie wypełniła pani tych formularzy sama, prawda? Będziemy zmuszeni panią deportować, panno Min.

Wybuchnęłam płaczem.

– Przyjechałam do Ameryki, ponieważ w Chinach nie ma dla mnie żadnej przyszłości. Gdyby w środku nocy na brzegu rzeki Huangpu nie było tylu ludzi, popełniłabym samobójstwo. Nie robiłabym wam kłopotu.

– Przykro mi, panno Min. – Tłumaczka odwróciła wzrok.

– Miałam szczęście, że nie umarłam w Chinach – powiedziałam, szlochając. – Jeśli mnie deportujecie, to tak, jakbyście mnie zabili. Bilet na samolot kosztował tyle, ile zarobiłabym przez piętnaście lat. Moja rodzina jest przeze mnie w długach. Błagam, proszę dać mi szansę!

– Panno Min, nie uda się pani funkcjonować w tym kraju. – Tłumaczka pokręciła głową. – Nawet jeśli panią przepuścimy, nie zdoła pani przetrwać w amerykańskim college’u. Rozumie pani? Stanie się pani ciężarem dla naszego społeczeństwa!

– Nie będę ciężarem dla nikogo. Niewiele mi potrzeba. Jestem świetną robotnicą. Sama wyjadę, jeśli za trzy miesiące nie będę mówiła po angielsku!

– Panno Min...

– Och, proszę, stoję już przecież na amerykańskiej ziemi! Może nie potrafię się porozumieć, ale potrafię rysować. Sprawię, że ludzie będą mnie rozumieli. Proszę spojrzeć, tutaj są zdjęcia moich obrazów. Chcę studiować w Akademii Sztuk

Pięknych w Chicago...

Tłumaczka przyglądała się moim pracom z kamienną twarzą.

– Proszę mi pomóc – błagam. – Będę dozgonnie wdzięczna.

Kobieta przygryzła wargi, spoglądając na zegarek.

– Przepraszam, że sprawiam pani kłopot. – Znowu się rozplakałam.

Przez chwilę wpatrywała się we mnie w milczeniu, po czym nagle wyszła z pomieszczenia.

## Rozdział 2

**Z**ostałam wybrana przez łowców talentów Madame Mao, gdy wykopywałam motyką chwasty na polu bawełny. Był rok 1976. Pracowałam w obozie pracy nad Morzem Wschodniochińskim. Połowę chińskiej młodzieży wysłano do obozów pracy w całym kraju. Mao odniósł zwycięstwo w rewolucji kulturalnej. Wykorzystując do walki młodych ludzi, zwanych Czerwoną Gwardią, skutecznie wyeliminował politycznych przeciwników. Ale młodzi zaczęli wywoływać zamieszki w miastach, więc Mao wysyłał ich na wieś. Kazał nam zdobywać „prawdziwą wiedzę, ucząc się od chłopów”.

Nie minęło wiele czasu, gdy zdaliśmy sobie sprawę, że znaleźliśmy się w piekle. Myśleliśmy, że uprawiamy ryż, by wspomóc Wietnam, ale udawało nam się wyhodować zaledwie tyle, by wyżywić siebie. Nasycona solą gleba była nieprzyjazna. W porze sadzenia harowaliśmy osiemnaście godzin na dobę. W obozach pracy nad Morzem Wschodniochińskim przebywało sto tysięcy młodych ludzi między siedemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia. Komunistyczna Partia Chin rządziła żelazną ręką i wobec tych, którzy ośmielili się nie przestrzegać przepisów, stosowano ostre kary, łącznie z egzekucją. Nie było weekendów, świąt, zwolnień chorobowych ani randek. Mieszkaliśmy w koszarach w stylu wojskowym,

bez pryszniców i WC. Pracowaliśmy jak niewolnicy. Od dziecka wpajano w nas, że zawdzięczamy życie Komunistycznej Partii Chin.

Przesłano mnie, niczym paczkę, do Szanghajskiego Studia Filmowego. Miałam być przeszkolona do grania głównych ról w filmach propagandowych, mimo że nie miałam zielonego pojęcia o aktorstwie. Zostałam wybrana, ponieważ, według Madame Mao, moja uroda pasowała do wizerunku proletariackiej heroiny. Ogorzała twarz i muskularne ciało, zdolne dźwigać setki kilogramów gnojówki. Zastygałam w bezruchu, gdy tylko usłyszałam szum włączonej kamery, ale starałam się ze wszystkich sił, by nie wrócić do obozu pracy.

W 1976 roku naród przeżył podwójny wstrząs. Dziewiątego września zmarł przewodniczący Mao. Wciąż byliśmy zagrożeni w głębokim smutku, kiedy została obalona Madame Mao. Mój status zmienił się w ciągu jednej chwili. Uznano mnie za „śmieć Madame Mao” – winną przez skojarzenie. Moja „proletariacka uroda” była „świadectwem gustu Madame Mao i jej niegodziwości”.

Jak mogłam być nielojalna wobec przewodniczącego Mao, skoro byłam lojalna wobec Madame Mao? Nigdy w życiu nie miałam nic do powiedzenia. Z podręczników szkolnych uczyłam się podziwiać tych, którzy umarli za komunizm. Ludzie skakali z budynków. Wieszali się, pili pestycydy, topili się w rzekach, brali pigułki nasenne i podcinali sobie żyły tylko po to, by udowodnić swoją lojalność wobec Mao.

Przekonałam się, że odebranie sobie życia jest znacznie bardziej skomplikowane, niż mi się wydawało. Uważałam, że nie zasługuję na śmierć, ponieważ nie czułam się winna. To nie moja wina, że Madame Mao wybrała mnie. Chciała „białej kartki, na której mogłaby malować każdym kolorem, jaki się jej spodoba”. Ja musiałam jedynie wypełniać rozkazy. W Szanghajskim Studiu Filmowym uczono mnie nawet, jak

pić wodę „w proletariackim stylu”.

– Nie, pijesz wodę nieprawidłowo, towarzyszeko Min! – krzyknął mój nauczyciel. – Odsuwasz mały palec, a tak piją burżujki. Musisz wziąć kubek, wypić wodę jednym haustem i wytrzeć usta rękawem!

Brakowało mi talentu aktorskiego. Pomocnik kamerzysty musiał spiąć szpilkami poły mojego kostiumu, żeby nie było widać, jak się trzęsę. Plecy miałam mokre od potu, na dźwięk komendy: „Akcja!” wyobrażałam sobie, że odsyłają mnie do obozu pracy.

Nie mogłam spać. Przypomniałam sobie mroźną zimę w obozie pracy, gdy po obudzeniu odkryłam, że samica szczura wydała na świat małe u moich stóp. Wzdrygałam się na myśl o smaku słonej wody ze sztucznego stawu. Myłam zębą wodą, w której na dnie kubka znajdowały się żywe organizmy. Paznokcie u rąk i nóg miały brązowe plamy od nawozów chemicznych. Skóra pękała z powodu grzybicy i rozmaitych infekcji. Zainfekowane palce u nóg krwawiły, skóra na twarzy łuszczyła się po obu stronach nosa.

Potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy nad dołem z gnojówką. Musiałam kucać na mokrej drewnianej desce. Dopiero po tygodniu nauczyłam się balansować na niej jak akrobatka. Musiałam machać rękami, by odpędzać komary – gatunek żarłocznych bestii o tak ostrych kłujkach, że potrafiły przebić nawet grube płótno. W dole pode mną roiły się miliony robaków, bałam się więc panicznie, by do niego nie wpaść.

Nie obawiałam się ciężkiej pracy, lecz jej ustawiczności. Potrafiłam wytrzymać noszenie na ramionach pięćdziesięciu kilogramów gnojówki w wiadrach zawieszonych na bambusowym drągu. Chodziłam w wodzie po kolana przez niezliczone pola ryżowe. Pracowałam na nocnych i dziennych zmianach. Byłam dumna z odcisków na karku i ramionach. Potem zdarzył się wypadek, którego skutkiem był uraz kręgo-



słupa – przerwał się zbutwiały sznur, na którym były zawieszane wiadra, straciłam równowagę i wpadłam do kanału. Od tej pory nie mogłam się schylać. Musiałam klęczeć w błotnistej wodzie, by dalej sadzić ryż.



Ponieważ zostałam uznana za winną, musiałam brać udział w wiecach potępiających Madame Mao. Dawne ofiary pierwszej damy pojawiały się na scenie, zdając relację z udręki, jaką znosiły. Nikt nie wspominał o Mao. Utrzymywano, że to wyłącznie jego żona była odpowiedzialna za śmierć milionów ludzi w czasie rewolucji kulturalnej. To ją skazano na karę śmierci.

Oglądałam proces w telewizji. Madame Mao wystąpiła po raz ostatni niczym heroina swojej propagandowej opery. Wymachując rękami, krzyczała: „Byłam psem Mao! Jeśli kazał gryźć, gryzłam!”.

Jedna ze starych aktorek, patrząc na mnie z tryumfalnym uśmiechem, wyjawiała, że celowo nie uczyła mnie niczego wartościowego, wyrażając w ten sposób swój protest przeciw Madame Mao.

– Dopilnowałam, żeby nasz wspólnie spędzony czas poszedł na marne. Min jest niewinną nowicjuską. Wiernie służyła Madame Mao. – Jej pomarszczona twarz rozkwitła jak jesienna chryzantema. – Spójrzcie na jej zaczerwienione policzki i znużoną minę. Jestem pewna, że knuła jakieś intrygi. Podkrążone oczy świadczą o tym, że w pełni zdaje sobie sprawę ze swojej roli. Burżuazyjna indywidualistka! W końcu poniosła porażkę!



Dawno już przestałam wymieniać listy z Yan, moją najlepszą przyjaciółką z obozu pracy. Za nic nie chciałabym, by

zaszkodziło jej moje opłakane położenie. Matka powiedziała mi, że w domu zjawili się wysocy urzędnicy z wytwórni filmowej, by ogłosić mój upadek. Ojciec był przekonany, że matka tylko pogorszyła sytuację, twierdząc, że jestem niewinna.

W pracy uważano ją za politycznie zacofaną. Nie tylko nie potrafiła prawidłowo recytować dzieł Mao, lecz wypierała ze świadomości wszystko, co jej zdaniem nigdy nie powinno się wydarzyć. Na przykład, nie zareagowała, gdy dowiedziała się, że pewien mężczyzna próbował mnie molestować, gdy miałam siedem lat. Byłam wtedy uczennicą drugiej klasy, wracałam po szkole do domu. Na ulicy podszedł do mnie młody mężczyzna i poprosił o pomoc w odczytaniu listy lokatorów w budynku mieszkalnym. Ponieważ byłam za niska, by rozróżnić znaki, wziął mnie na rękę. Tylko że nie puścił mnie, gdy skończyłam je odczytywać.

– Chciałbym, żebyś mi pomogła odczytać jeszcze jeden znak na tablicy na pierwszym piętrze – powiedział.

Weszliśmy na górę, ale nie było tam żadnej tablicy informacyjnej, poprosiłam więc, by mnie postawił, nie zrobił tego jednak. Usiadł ze mną na schodach. Powiedziałam, że muszę wracać do domu, a on na to, że mi pozwoli, jeśli pokażę mu bieliznę. Byłam skłonna sprawić przyjemność dorosłemu, ale moje majtki były tak brudne i podarte, że nie nadawały się do oglądania. Mężczyzna zmusił mnie jednak siłą. Usiłowałam się wyrwać, ale byłam za słaba. Uratował mnie dźwięk zatrzaśkiwanych drzwi w drugim końcu korytarza. Zdołałam uciec.

Natychmiast po powrocie do domu opowiedziałam o wszystkim matce, lecz ona nie chciała słuchać, co sprawiło mnie w zakłopotanie. Gdy wspomniałam o jego zainteresowaniu moją bielizną, wykrzyknęła:

– Nie, to się nie wydarzyło. To nie mogło się wydarzyć!

Chociaż bezbronna i nieporadna, matka była dominującą osobą w moim życiu. Zagroziła, że się mnie wyrzeknie, gdy